№ 10. Warszawa, dnia 20 Stycznia / 2 Lutego 1872 roku. Rok I.—Tom I.

WIENIEC

PISMO CZASOWE ILLUSTROWANE

WYCHODZĄCE DWA RAZY NA TYDZIEŃ.

Prenumerata w Warszawie:
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rs. 5 kop. 40, półrocznie rs. 2 kop. 70, kwartalnie rs. 1 kop. 35, miesięcznie kop. 45.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
Rocznie rs. 8, półrocznie rs. 4, kwartalnie rs. 2.

Wydawca Hipolit Orgelbrand.

Expedycya główna w Warszawie, ulica Bednarska N. 20.

W Cesarstwie Austryackiem: we Lwowie u Seyfartha i Czajkowskiego kwartał: flor. 3 cent. 25; na prowincyi z przesyłką pocztową, flor. 3 cent. 77.
W Krakowie w księgarni wydaw. dzieł tanich i pożytecznych, kwartalnie: flor. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 52.
W W. Ks. Poznańskiem: u F. H. Richtera, kwartalnie tal. pr. 1 sgr. 22½, na prowincyi z przesyłką pocztową tal. 2 sgr. 7½.

ROMANTYCZNOŚĆ PRZED MICKIEWICZEM.

(Ustęp z większéj całości)

Napisał Adam Bełcikowski.

(Dokończenie. Ob. Nr. 9.)

Z tej także przyczyny dałoby się wytłómaczyć powstanie w początkach nowéj poezyi tak nazwanych szkół prowincyonalnych. Ogólnego charakteru poetycznego dla całéj Polski, jak go naprzykład miały germańskie i zachodnie ludy, bynajmniéj nie było. Należało go, jak powiedzieliśmy wyżéj stworzyć w dalszym rozwoju poezyi, zaczynano go więc stwarzać w ten sposób jak w wiekach średnich budowano świątynie i tumy gotyckie: częściowo, stosownie do naglejszéj potrzeby i istniejących środków. Prowincye, w których żywioł poetyczny był najobfitszy, musiały najprzód rozpocząć prozę, wystawić, że tak powiem, pewną część budynku dla siebie...

Klassycy nie pojmujący tego narodowego charakteru literatury, oburzali się głośno na te, podług ich wyobrażenia, prowincyonalne zachcianki. Ich forma poetyczna była tak dogodną, że wszystko pod nią zarówno zmieścić się dało, a kosmopolityczny klassycyzm był zarazem centralizacyą umysłową w najściślejszém tego słowa znaczeniu. Z rozrzewnieniem przypominali sobie oni te czasy, gdzie cały ruch literacki obracał się jak około słońca około pseudoklassycznego ideału, którego jedyna świątynia stała w Warszawie... Wtenczas panowała zaiste karność i subordynacya w obozie literackim, słuchającym po całym kraju bez szemrania i z uległością komendy Boala i Laharpa.

Jakby przez ironią losu pierwsza z tak nazwanych „szkół“ utworzyła się w samém sercu klassycyzmu, w Warszawie. Tutaj od roku 1820 przebywali jéj najcelniejsi wyobraziciele i tutaj najprzód pojawiały się ich utwory.

Najpierwszym z tych poetów i w ogóle najpierwszym z nowych poetów, który się dał poznać był B. Zaleski. Od początku r. 1822 drukował on swoje poezye po pismach peryodycznych, szczególnie w Pamiętniku Warszawskim. „Ludmiła, duma z pieśni ukraińskiéj,“ „Nieszczęśliwa rodzina,“ „Lubor, ballada z powieści ludu,“ „Arab u mogiły Konia,“ „Pieśń staroczeska z rękopisu Królodworskiego“ i „Triolety do Malwiny“ pojawiły się jeszcze w tym roku; w następnym znowu: „Wyjątek z rapsodu rycerskiego,“ „Dumka hetmana Kosińskiego,“ „Wzgórek pożegnania,“ ballada „Pielgrzym“—w tym roku napisany był także: „Śpiew poety.“ Najstarszą datą jest rok 1820 podpisany pod dumką „Nieszczęśliwa rodzina,“ która w późniejszém przerobieniu otrzymała nazwę: „Wzgórek pożegnania.“

Współcześnie, bo także r. 1822 zaczął St. Witwicki umieszczać w Pamiętniku Warszawskim swoje dość mierne ballady i inne wiersze.

W wymienionych wierszach Zaleskiego otworzył się nowy świat poetyczny dla czytelników, wystąpiły w nich postacie, jakich poezya polska po największéj części dotąd nie znała: wiejska dziewczyna rozpaczająca nad śmiercią kochanka, osiwiały w bojach Lubor, dzielny, awanturniczego usposobienia hetman kozacki, wreszcie i ten Arab opłakujący zgon swego konia, stalszego od kochanki—były to zjawiska uderzające na pierwszy rzut oka nowością, i aż nadto wyraźnie mówiące o sobie, że wzoru do nich nie można było znaleźć w pseudoklassycznéj i klassycznéj poezyi. Przedewszystkiém zaś musiał zwracać uwagę ich charakter ludowy, narodowy i pochwycony z natury. Ze wspomnień miejsc rodzinnych, z pieśni i opowiadań, które zasłyszał w ukraińskich chatach, dokąd w swéj młodości tak często zaglądał, utworzył je poeta... A wrażenia te silne bardzo być musiały, gdy ich nie zagłuszyły ani pojęcia literackie panujące jeszcze w stolicy, ani też z drugiéj strony wpływ romantyczności zagranicznéj. Zaleski jest prawie jedynym z tych pierwszych a nowych poetów, który nie nastrajał swéj lutni na ton Szyllera, Byrona i innych romantyków, i niepotrzebnameł dopiero po niejakim czasie otrząsać się z naleciałości obcego ducha.

Z torbanem i taki młodziutki
Żegnałem się z tobą na wieki—

odzywa się do Ukrainy (w Oratorium wieszczém)... i jakim pożegnał się z nią, takim pozostał, można powiedzieć, na zawsze... do jego torbanu przylgnęły dźwięki rodzinne, i poszły za nim, i nie rozłączały się z nim nigdy—w świecie szerokim...

Słabe tylko, nieznaczne ślady tego obcego wpływu upatrywałbym na jego pierwszych utworach. Zakończenie naprzykład Ludmiły, kiedy w to narzekające dziewczę uderza piorun i Ludmiła zostaje przeniesioną w świat drugi, do boku kochanka, wydaje mi się być więcéj w duchu romantycznym niż w duchu ludowych pieśni i wyobrażeń. Podobnie także stary Lubor, który

. . . . . od wieków w jednéj postawie
Skamieniał leżąc w ustroni,
U nóg hełm, włócznia zarosła w trawie,
Na wpół dobyty miecz w dłoni—

i który tylko o północy, gdy zawyje burza, budzi się ze snu i oręż krwawy wyciąga, — ten Lubor także nasuwa na pamięć owych legendowych rycerzy średnich wieków, co czasami ze swych leż grobowych się podnoszą. Wreszcie i „Araba u mogiły ,konia“ utworzyło bez wątpienia jakieś więcéj romantyczne natchnienie, zamiłowane jak w średnich wiekach tak i we Wschodzie, czego najwymowniejszym przykładem stał się Byron.

Nie napotkałem nigdzie śladu, ażeby te pierwsze poezye Zaleskiego wywołały oburzenie u klassyków. Z tego co wiadomo, zdaje się, że przeszły wówczas bez wielkiego wrażenia. Najprzód, było ich za mało (że tutaj arytmetykę w sprawy poezyi wprowadzić musimy), ażeby zrobiły jakiś rozgłos; powtóre nie nosiły na sobie (co im swoją drogą za wielką zaletę policzyć się musi) widocznych śladów romantyki zagranicznéj, do których umysły z przykładów obcych się przyzwyczaiły, i których spodziewały się w nowych utworach. Cudowności było w nich nie wiele, tyle prawie ile się jéj spotyka w poezyi ludowéj — klassycy mogli je przeto łaskawiéj przepuścić za paszportem niby téj poezyi, któréj wprawdzie nie uznawali, ale którą tolerować musieli, podobnie jak to przed niedawnym czasém stało się z Wiesławem Brodzińskiego.

Większe niezadowolnienie i zgrozę musiały obudzić pierwsze utwory Witwickiego. Ale w tym wypadku słabość ich musiała być klassykom na rękę — pocieszali się tém, że romantyczność się kompromituje, tak jak kiedy późniéj Witwicki wydał cały zbiór swoich ballad, klassycy klasnęli w ręce z radości.

Wielki krzyk oburzenia podniósł się jednak, kiedy w Wilnie w r. 1822 wyszedł z druku pierwszy, a w r. 1823 drugi tomik poezyj Adama Mickiewicza. Romantyczność naprawdę stała się niebezpieczną, gdy tyle naraz wierszy wydała. Bano się jéj jako zarazy umysłowéj, lecz przytém miano błogą nadzieję, że jest tylko obłędem, który po chwili przejdzie, i nie zapuści w umyśle narodowym korzeni. Teraz zobaczono, że się przerachowano — romantyczność tworzyła całe poemata, nad jakiemi klassycy długie lata by pracowali, romantyczność wydała poetę, którego imię w krótkim czasie przebiegło kraj cały.

DUMKA

PRZY KROSIENKACH.

przez

Józefa B. Zalewskiego.

O! widać i słychać—w ogródku skowronek
Z piosenką podleci, upadnie;
I moje kwiateczki z rozpukłych nasionek,
Jak wschodzą zielono i ładnie!
O! milsze krosienka,
I miléj z okienka
Zadzwoni piosenka,
La, la, la, piosenka!

Po kwietnéj, po świetnéj — z przewodnią nie- [dzielą,
Rozrosną się w słońcu kwiateczki,
I w pączki się zwiną, rozwiną, wystrzelą
W czerwone, w niebieskie listeczki.
O! milsze krosienka, i t. d.

Po cichu coś szepcą i młodzi i starzy,
O! łatwo odgadnąć z ich oczu:
Coś o mnie, o kwiatkach,—co? jakie do twarzy?
Co? jakie mam upleść w warkoczu?—
O! milsze krosienka, i t. d.

O! wiem ja, wiem kogoś, co wszystko mi powié,
Zwierciadło mi prawdę odsłoni;
Lilię uplotę u wstążek na głowie,
Różyczkę we włosach u skroni.
O! milsze krosienka, i t. d.

Wieczorem za dworem gościniec w kurzawie,
Gość jedzie na wronym koniku;
O! prędzéj, co prędzéj, u włosów poprawię,
Przepaskę zacisnę w staniku.
O! milsze krosienka, i t. d.

Gość jedzie — już w bramie; rży konik z po- [dwórka,
Mój Boże! ach! co go przywiodło?
I woła i pyta: „a państwo, a córka?”
I cugle zarzuca na siodło.
O! milsze krosienka, i t. d.

Od brzęku, od dźwięku ostrogi, szabelki,
Aż brzęczą, aż dźwięczą pokoje;
Aż skacze serduszko,—bo wojak to wielki—
Wszelako nie bardzo się boję.
O! milsze krosienka, i t. d.

Groziła mi ciocia — o! gdzie tam! — co cioci!—
Groziła z uśmiechem, nie szczerze:
„Bałamut!”—o gdzie tam!—to anioł dobroci!
Bałamut?—nie wierzę, nie wierzę.
O! milsze krosienka, i t. d.

On idzie i kłania, i zbliża się do mnie,
I mówi tak pięknie i z cicha;
Wstyd oczu mi podnieść, tak chwali nieskro- [mnie;
Pochlebnik!—o biedny! on wzdycha.
O! milsze krosienka, i t. d.

O! dobry i grzeczny i miły chłopczyna!...
Lecz będę, o! będę ostrożna!...
Całować chcę różę—dalibóg zaczyna;—
O! proszę—nie można! nie można!...
O! milsze krosienka,
I miléj z okienka
Zadzwoni piosenka,
La, la, la, piosenka!

HEROD-BABA

OPOWIADANIE DZIADKA

spisane przez

J. I. KRASZEWSKIEGO.

(Ciąg dalszy. Ob. Nr. 9).

W onym czasie gdy p. Zygmunt Piętka poczynał się starać o Elżunię, już przy niéj zastał smalącego siarczyście cholewy niejakiego Gracyana Borodzicza. Borodziczowie mieli wioskę około Okóniów; mieszkali w Wiązówce — o trzy ćwierci mili od Wulki. W owych czasach żył jeszcze ojciec Gracyana, pan Filip Borodzicz, były rotmistrz kawaleryi narodowéj, słynny rębacz, gaduła i bibuła. Syn do niego wcale nie był podobny, chyba z twarzy i postawy. Mężczyzna nie piękny, to prawda, ale dorodny, zdrów, silny, twarzy marsowéj i męztwa takiego, że się niczego w świecie nie ulakł. Szedł bez namysłu z szablą jeden na dziesięciu, a pistolety do siebie wymierzone za lufy łapał. Wymowę miał trudną, mówił też niewiele, ale na słowo jego liczyć było można. Zakochał się był Borodzicz w pannie i attentował z pozwoleniem rodziców, gdy się Zygmuś zjawił i zaraz go odsadził. Borodzicz panne widząc za nim odstąpił, ale jak się kochał tak ze swém kochaniem pozostał. Chcieli mu pp. Okóniowie drugą swatać — podziękował. Smutny a wierny swemu pierwszemu uczuciu — zaklął się iż nigdy w życiu się nie ożeni, a Elżuni poprzysiągł wierność do śmierci. Śmiano się z tego, dawał się śmiać, ani się tail.

— A co to jéj szkodzić ma, że ja ją kocham. Z daleka i słońce kochać wolno.

Znano go z téj passyi, Zygmunt sam czasem sobie z kawalera żony swéj żartował, ona nie... Otwarcie powiadała iż miała dlań szacunek i przyjaźń. A Zygmuś ją bystrością znać dowcipu i układną postawą obałamucił, bo inaczéj byłaby pewnie poszła za Borodzicza.

Gdy się ta nieszczęsna przygoda trafiła z Zygmuntem, Borodzicza nie było doma, jeździł do krewnych kędyś daleko. Dopiero wróciwszy dowiedział się o wszystkiem. Pierwszego tedy dnia nie spoczywając, do Okóniów pojechał.

Zastał tam łzy i niepokój i wiadomość o podróży Elżusi z panem Eligim. Stryja znał dobrze, a wydało mu się że dla towarzyszenia młodéj kobiecie w daleką drogę źle był dobrany — to go zasmuciło bardzo. Nie mniéj myśl iż rzucona bez opieki w świat nieznany, wiele przecierpieć musi.

Nie mówił jednak Okóniom nic, pochodził z niemi, postękał i do domu powrócił. Tegoż wieczora dla zasięgnięcia języka do Mioduszewskiego pojechał. Oba oni jednakiemi byli adoratorami pięknéj Elżusi i nawzajem się też wielce kochali. Ledwie Borodzicz z konia pośpiał zsiąść, już go stary Mioduszewski witał.

— A co! bratku! nie ma królowéj naszéj nie ma!

— Jać to za tem do waści na radę przybyłem, ściskając go odparł Borodzicz — nie dosyć że pojechała nieopatrznie w cudzy kraj, ale kogoż wzięła z sobą, hm...

— Rozgotowaną sztuka mięsę! zawołał Mioduszewski, bo to kruche jak ona a nie posilne. Niech mnie wezmą! pojechał Eligi.

— Otoż to jest! rzekł Borodzicz — ale gadaj no jegomość więcéj! Jak? co? ja nic nie wiem.

— Co mam mówić? Znacie królowę naszą, zaczął Mioduszewski podnosząc ręce — to kobieta jakich nie ma. Powiedziała sobie że pojedzie za nim i ruszyła jak z procy, żadną siłą jéj powstrzymać nie było podobna. A po co pojechała? zarznij mnie to ci nie powiem! Eligi mówi że mu obiecała w łeb strzelić — no — ale tego nie uczyni... żeby mu tam w oczy napluć i zawstydzić, przyznam się tyle fatygi nie było warto! żeby go tu nazad przyciągnąć? — wszak ci i sam ogoliwszy się przybędzie pewnie. *Summa summarum*, królowa nasza z wielkiego gniewu, bodaj czy nie bąka ucięła, którego sama potém żałować może. Niech mnie wezmą!

— A może! westchnął Borodzicz — i w dodatku Eligi!!

— Dobre człeczysko, ale co po nim! zawołał Mioduszewski·

— Hm! mruknął przechadzając się Borodzicz, to źle jest — źle... a rodzice ją tak puścili!

— Któżją strzyma? odparł gospodarz, gdy czego chce — to być musi, a gdy się pogniewa, żadna siła jéj nie zmoże.

— Hej! hej! uśmiechnął się Borodzicz, ręce ogromne gdyby łapy niedźwiedzie składając jak do modlitwy — hej! hej! to musiała być piękna gdy się tu gniewała!!

Aż westchnął z piersi całéj — ona bo czy się gniewa, czy się uśmiecha — czy smutna to coraz inaczéj, a piękna... kroć sto tysięcy... zarwał — Mioduszewski uściskał go.

— Prawda! prawda! to jest mosanie piękność

nad pięknościami, to jest — kobieta jakiéj drugiéj nie ma pod słońcem... niech mnie wezmą.

— Nie ma pod słońcem! powtórzył Borodzicz i począł znowu chodzić po izbie jak zwierz po klatce.

— Wiész acan co? wiesz co? mnie się zdaje — dodał — tak ją opuścić, zdać na łaskę Opatrzności z tym Eligim, — ciemięgą — to się nie godzi Za późno się dowiedziałem o wyjeździe — a no — a no — wiecie co, Mioduszewski?

— A co? a co?

— Ja za nią pojadę! Ona o tém i wiedzieć nie ma, i nikt oprócz was — będę z za węgła naglądał. Ot! a co wy na to?

— Hm! westchnął drugi — żeby ona mi była gospodarstwa nie zdała, ja bym toż samo zrobił — niech mnie wezmą!

— Ale żywéj duszy ani mrumru! dodał Borodzicz — chciałem wiedzieć co wy powiecie — teraz, bywajcie zdrowi — ja dziś nocą już będę na gościńcu.

— E?? e? spytał Mioduszewski — na prawdę!

— Jak mi Bóg miły! bywaj zdrów.

Uścisnęli się. — Tegoż dnia ruszył Borodzicz, a dobrawszy i konie i ludzi, niezatrzymując się nigdzie, poparł tak, że tego dnia gdy koło reperowano w miasteczku, stanął w niem na popas.

Rzeczywiście koło było oddawna gotowe, konie się tylko wylegiwały, ludzie chrapali, Elżusia zadumana siedziała w okienku, a stryj Eligi który się strasznie nudził, po pustym rynku miasteczka chodził z rękami w kieszeniach, jakby po swym własnym toku. Dwie kozy żydowskie i chuda krowa, żywiące się resztkami wczorajszego jarmarku, dotrzymywały mu towarzystwa. Spacerował tak sobie zdjąwszy nawet pasa, aby mu wolno było, gdy na zawrocie nos w nos... z konnym jakimś się zetknął i aż cofnął.

— Wszelki duch Pana Boga chwali! Borodzicz! a ty tu co robisz?

Nieszczęśliwy pan Gracyan, który się tu jeszcze podobnego spotkania wcale spodziewać nie mógł — a nie był do niego przygotowany — oniemiał. Szyk, pyk — co tu powiedzieć?

Zaczął się kłaniać i uśmiechać, myśląc tym czasem jak się wykłamać. Innemu by to może łatwo przyszło, ale Borodzicz nie miał najmniejszéj wprawy, nie trafiło mu się dwa razy w życiu wyłgiwać. Łykał więc wyrazy, śmiał się, wąsa kręcił, a myślał: — Co ja tu jemu nieszczęśliwy powiem?

Niechciał się wcale przyznać że gonił za niemi, ani nawet się im pokazać. Wypytywał po drodze kiedy jechali i był pewnym że go o cały popas, co najmniéj wyprzedzają. Tym czasem zatrzymanie się w miasteczku było powodem że się tak niespodzianie zetknęli.

— Coż ty tu robisz? zapytał Eligi.

— Ja? co ja tu robię — mówił Gracyan przeciągając dla namyślenia się — w istocie panu się zdawać może dziwném co ja tu robię, nieprawdaż? ha! a ja też nie mogę się wydziwić jakim trafem tu pana spotykam?

— Czyś waćpan w domu był? spytał stryj.

— Kiedy?

— A no teraz, w Wiązówce byłeś?

— Jakto?

— Z tamtąd jedziesz?

Borodzicz zmiarkował że się jednem kłamstwem śmiałem uratuje.

— Ja? ja jadę od familii. Cztery tygodnie jak nie byłem w domu.

— Nic nie wiesz?

— A cóż mam wiedzieć!

Stryj Eligi odetchnął. Nic nie wiesz? Zygmuś uciekł z diablicą, a my z Elżusią za nim goniemy! Ona tu jest.

— Tu jest? zawołał niby dziwiąc się Gracyan.

— Tu! i stryj wskazał na gospodę.

Duch wstąpił w Borodzicza.

— Otoż, rzekł, szczęśliwy trafunek mnie tu sprowadza.

— Bardzo szczęśliwy... chodź do Elżusi, będzie ci rada, bo to ty stary adorator! stary adorator! śmiejąc się, dodał stryj.

Borodzicz z razu się opierał, potem otrząsnąwszy z pyłu, za stryjem pociągnął. A już Elżusia go z okna dostrzegła i zarumieniła się zobaczywszy, bo się jéj zdało że i ten może za nią goni — obiecała go sobie surowo przyjąć i odprawić, bo z nim jako z najwierniejszym sługą nie robiła ceremonii.

Gdy się stryj w progu pokazał, po twarzy poznał, że synowica była gniewna — bo się jéj wówczas ciemne brwi schodziły prawie i pręga występowała na czole.

— A pan tu co robisz! zawołała na Borodzicza zobaczywszy go i nie czekając aż ją pozdrowi.

— Istny przypadek, miłościwa pani! jadę od familii, cztery czy pięć tygodni jak nie byłem w domu.

To rozbroiło Elżunię, uśmiechnęła się.

— Dowiaduję się od pana Eligiego, że państwo w podróży jesteście i to jeszcze tak dalekiéj, tak smutnéj.

— Siadaj panie Gracyanie, swobodnie zaczęła Elżusia — podróż to nie straszna, a bardzo się smucić nie mam czego! chcę ratować człowieka, który rozum stracił. Znaleźć go muszę, poprobuję ocalić, a nie!... Machnęła ręką.

— To co? szepnął Borodzicz.

— To wrócę do domu i — obejdę się bez trutnia, ale gdy on przyjedzie, może mnie nie zastanie. Ja się ani podróży ani jego nie lękam.

— Herod-baba! szepnął stryj — ona się nie lęka a ja się lękam!

Borodzicz milczał. Elżunia chodziła po izdebce dosyć raźnie, wziąwszy się w boki, a tak jéj w podróżnéj katance było pięknie aż miło spojrzeć — pasł też oczy nieszczęśliwy Gracyan i wzdychał. Jakoś go to wszystko tak nagle a niespodzianie pochwyciło, że się na żadną przytomną odpowiedź nie przygotował, i gdy go Elżunia nagle zagadnęła — A pan dokąd jedziesz?

Stropił się i zmięszał, niewiedząc co odpowiedzieć. Po długiem milczeniu powtórzyła mu: — Waćpan dokąd jedziesz?

Co tu było odrzec? głowa pękała, kłamstwo go każde niesłychanie kosztowało. W téj chwili gdy łykał niedojrzałe wyrazy, których powiedzieć nie śmiał, jakby mu kto szepnął na ucho: — Na Szlązk woły kupować.

— Ja? bąknął Borodzicz — a! trochę mi się grosza dostało po krewnym — jadę na Szlązk woły kupować.

— Na miłego Boga! rozśmiała się kobieta — a toż z waści gospodarz! Przecież od nas je tam wodzą sprzedawać?

— Hm! nie wiem! rzekł zafrasowany Borodzicz... nie wiem, bo mnie powiedziano że takiego bydła jak na Szlązku u nas nie widziano.

Coś to tak kłamstwem pachniało, że Elżusia głową strasznie trząść zaczęła.

— Może i pan za jakim koczkodonem gonisz! rozśmiała się — bo się przyznać lękasz! wszak ci to chodzi po was.

— Ino nie po mnie — zawołał Borodzicz z oburzeniem, to się po Borodziczu nie okaże.

Tak jakoś rozmowa drażliwa się skończyła; biedny Gracyan stał a patrzał, czując że swą panią nie rychło znów zobaczy.

— Pewnie panu do tych szlązkich wołów pilno — rzekła filuternie trochę Elżusia, ruszaj że szczęśliwie, nie wstrzymujemy, my tu jeszcze nocować będziemy.

Skłoniła mu się, wyszedł rad nie rad, a stryj Eligi za nim. Ale mało co już mówili, bo Gracyan do rozmowy skorym nie był, stryj ponuro chodził, wreszcie namyśleć się należało co tu począć. Pożegnali się w rynku, Borodzicz schronił się do żydowskiéj izby, gdzie sobie jajecznicę zadysponował. Zastygła wszakże ta podróżna potrawa, a jeszcze chodził i dumał a przemyślał co miał z nieszczęsną figurą swą uczynić, aby nie narzucać się kobiecie, a na straży jéj pozostać. Po długich rachubach postanowił ruszyć przodem i wyczekawszy gdzieś aby go minęła, poźniéj za nią nieznacznie podążać. *(d. c. n.)*

PRZEGLĄD LITERACKI.

(Ciąg dalszy. Ob. Nr. 9.)

Bożek Milion powieść przez Waleryę Marrené (Morzkowską). Warszawa, 1872. —Nemezys przez też autorkę. Niecnota, powieść p. Zbigniewa, 1871., Wychowanica, powieść ze stosunków galicyjskich z 1848 r., przez Alberta Gorowskiego. Kraków 1871.—Nieszczęsny Legat przez J. K. Turskiego. Poznań. 1871.—Opowieści stepowe p. Paulina Stachurskiego, Lwów. — Kraków przed czterdziestu laty p. Walerego Wielogłowskiego. (Wydanie pośmiertne), Kraków 1871.

Niewiarogodność opisanych wypadków nie potrzebuje dowodzenia. Dla czego hrabia Juliusz ukrywał w tajemnicy okoliczności swojego małżeństwa?... Dla czego przed synem nawet zataił ojczyznę i nazwisko swej żony? Dla czego Ciarkowski wywozi tajemnie z Walparaizo odpis aktu ślubnego swojego pana?.... Jakim sposobem Kilian mógł być wyzuty z ojcowskiego majątku, kiedy cały świat uważał go za prawowitego spadkobiercę?... Jakim sposobem hr. Feliks zdołał wysadzić w powietrze fabrykę wyrobów chemicznych, w któréj pracował Kilian? Czy za pomocą min? I jakiż to skutek wybuchu w wielkiém mieście i pośród mnóstwa robotników?... Oto Kilian, a nie kto inny, oparza sobie ręce!... A ówże drugi zamach, wynikły ze współki hr. Wilhelma z trzema zbirami?... Któż potém unosić się będzie nad inwencyą autorki *Bożka Miliona*?...

Rozpatrzmy się teraz w charakterach.

Pani M. jedyny ma sposób charakteryzowania swoich postaci i natychmiast po wprowadzeniu ich na scenę opisuje ich powierzchowność i wyczytuje z niéj duszę całą, ohydną lub zacną. Potém już wiemy, czego od nich spodziewać się możemy. Czy sposób ten zgodny jest z naturą i rzeczywistością? Gdyby tak było w życiu, to połowę ludzi chodzących swobodnie po świecie, społeczeństwo powinno byłoby skazywać na prewencyjne więzienie. Nie tak pojmują tę rzecz powieściopisarze wzorowi. Charaktery rozwijają się u nich w akcyi, w dramacie życia. Rozwój ten czasami powstrzymuje się, czasami zmienia kierunek pod wpływem rozmaitych kollizyj, a czasami dosięga kulminacyjnego punktu, na którym charakter staje się dojrzałym w pełni typem. Minęły czasy, kiedy dość było osoby swoje nazwać Cnotliwskim lub Nikczemnickim, ażeby czytelnik wiedział z kim ma do czynienia. A jednak metody téj, w trochę odmienny sposób, trzyma się pani M. Oto są trzy *potwory* występujące w *Bożku-Milionie*:

1. Hr. Feliks Horecki. „Twarz jego wyniszczona, była jednak *imponująca*. Pomarszczone czoło

podnosiło się dumnie; tylko usta przycięte miały wyraz dwuznaczny, harmonizowały z oczami kosemi... W uśmiechu jego cynicznym znać było przeżytego rozpustnika... Starość jego nie wzbudzała szacunku... Znać w nim było jakieś bezsilne żądze (i cóż w tém jest *imponującego?*), jakieś niewczesne żale, niewiarę w siebie i drugich, i troski tajone, nie wzbudzające współczucia, jak gdyby kryły czyny nie znoszące dziennego światła...."

2. Hr. Wilhelm Horecki. „Rysy miał piękne, a jednak sucha linia profilu przypominała niewiedzieć czém drapieżnego ptaka.... Oczy te były czarne, śmiałe, bezczelne prawie. Niebieskie białw jego wzroku przyćmionym, i mimo woli i wiedzy jego wybijały rumieńcem na twarz i żarem w źrenicy. Rzadki uśmiech jego był podstępny, nadawał ohydne piętno całéj fizionomii, szpecił jeszcze i wykrzywiał rysy ukształtowane znać wpływem nizkich namiętności i stłumionych wybuchów... Człowiek ten wzbudzał wstręt i obawę; coś z niego wołało by go się strzedz i omijać zdaleka jak zwierzę jadowite... On kochał córkę swoją. *Uczucie to pełne było upodlenia i nikczemności (!!!)*"

I gdzież istnieją podobne potwory? Wszak sama autorka powiada w jedném miejscu, że każdy człowiek, jakkolwiek zepsuty i spodlony, ma zawsze prawie na dnie serca choć jedną iskrę ludzkiego uczucia, niby zaród odkupienia; że uczucie to drzemiące bezwiednie, okoliczności na jaw wywołać mogą, i znów choćby na chwilę łotra uczynić człowiekiem. Dla czegóż autorka zapomniała o téj zasadzie w toku powieści swojéj?... Czy hr. Feliks albo syn jego okazują się choć raz ludźmi? Może w chwili, kiedy syn z bezprzykładnym bezwstydem zarzuca ojcu niezręczność w oszustwie?... Zaprawdę nie są to ludzie, i pani M. wywołując do bytu podobne potwory, dopuściła się obrazy człowieczeństwa. Jeszcze jedna uwaga. Jakim sposobem z trzech owych potworów, jeden w przeciągu lat kilku mógł odegrywać rolę najczulszego brata i stryja, drugi przywiązanego kuzyna, a trzeci w przeciągu lat *dwudziestu* być wiernym i zaufanym sługą?... Czy zresztą hr. Feliks mógł wstępować z Ciarkowskim w zmowę szalbierską?...

Zdawało się nam z początku, że autorka przeznacza wielką rolę w powieści hrabinie Feliksowéj. „Hrabina Marya umiała władać swemi ruchami, głosem, spojrzeniem, z mistrzowstwem, które nawet jéj towarzyskie koło admirowało i próżno starało się naśladować. Wzruszenie jéj ramion równało się wyrokowi zaguby. Biada



Przy Krosienkach. (57).

Rysunek do poezyi **Józefa B. Zalewskiego.**

ka podnosiły ich blask gorący i przykrém czyniły spojrzenie. Zresztą nozdrza rozdęte i wydatna szczęka świadczyły, że w tym człowieku namiętności wzięły górę nad moralną istotą i rządziły nią samowolnie...."

3. Ciarkowski. „Miał wyraz przebiegłości bezczelnéj, cechującéj łotrów wszystkich klas społeczeństwa; pewno nie jednego oszukać i wyzyskać musiał... Wypełzłe brwi, po nad szaremi oczami zaledwo znaczne, czyniły tę twarz przykrą bardzo, nadając jéj jakieś dalekie podobieństwo z lisem, kuną, wiewiórką. Wyraz jéj był podstępny, a chciwy. Jakieś brudne, tajone żądze paliły się

człowiekowi, który je ściągnął na siebie. Skinienie jéj ręki wymazywało z rzędu żyjących; uśmiech otwierał na oścież podwoje łaski; spojrzenie wzniesione było całym poematem, skargą, oburzeniem i zgrozą pobożną. Nawet lekkie poruszenie brwi i nozdrzy wystarczało do spiorunowania śmiałka, co by się dopuścił jakiegobądź przekroczenia..." Lecz owa potęga towarzyska okazuje się następnie najzupełniejszą nicostką. Pojęcia jéj nie przekraczają formuł: „tak się nie robi; tak się nie mówi; to nie jest przyjęte" i t. d. Mąż, syn i córka pomiatają nią w przeciągu całéj powieści,—a w najtragiczniejszych chwilach hra-

bina zdobywa się tylko na zimne wykrzyknienie: *est-ce possible?* albo *au nom du ciel* i t. p.

Charakter hrabianki Amelii usiłowała autorka rozwinąć głębiéj, lecz to się jéj nie udało z powodu sprzeczności, w jakie nieustannie wpada z przedziwném roztargnieniem. Tak w opowiadaniu Kiliana Amelia występuje jako 20sto-letnia zalotnica polująca na majątek kuzyna, gdyż sama była bez posagu. W tym czasie nawet pozwala się użyć do ohydnego podstępu, i za namową hr. Feliksa pociąga Kiliana na schadzkę do ogrodu, ażeby usunąć go od łoża konającego ojca. Następnie odtrąca go z pogardą, gdy został człowiekiem *bez praw do egzystencyi*. W kilkanaście lat, potém widzimy ją starą panną, suchą, wywiędłą, bez najmniejszéj rezygnacyi znoszącą to przedłużone dziewictwo. Razi ją każda młodość, każdy spokój, każde wesele, tak jak puszczyka razi każde światło dzienne. W tém widok Kiliana stojącego u ołtarza z Cecylią budzi w niéj *dawną miłość* (?) i naprowadza na drogę skruchy i powinności. Autorka wielce rozszerza się nad stanem jéj serca, lecz zawsze z jednakową niekonsekwencyą. Niespodzianie dowiadujemy się, że Amelia odrzucała wiele partyj „bo młoda i piękna, czuła się w prawie żądać czegoś więcéj niż zimnego konwenansowego małżeństwa, bo może w głębi jéj serca została pamięć nadto żywa głębokich spojrzeń, namiętnych słów *pierwszéj miłości*, którą tak gwałtownie przerwała rodzinna katastrofa Kiliana.... A przecie ona sama dla niego była nieubłaganą" — dodaje naiwnie autorka. Słowem charakter Amelii jest najzupełniéj chybiony. A zresztą powtórzmy słowa pani M., że „były tam jakieś uczucia i myśli w letargu, czekające chwili zbudzenia."

Ideałem powieści jest Kilian, postać narysowana niezmiernie blado. Ma to być wcielenie idei sprawiedliwości i pracy w zapasach z Bożkiem-Milionem. Na nieszczęście nigdy nie widzimy Kiliana przy pracy; słyszymy tylko że ma zajęcie w fabryce wyrobów chemicznych; lecz w rzeczywistości widujemy go, to czuwającym u drzwi Cecylii, ażeby się zjawić jak *Deus ex machina* w chwili napadu hr. Wilhelma i przerazić go jedném spojrzeniem, to opowiadającym ex-guwernantce historyę swojego życia w noc księżycową,



Maronici. (58).

aż pierwszy promień słońca powitał ich pierwszy pocałunek; to leżącym na łożu boleści po szczęśliwym czy nieszczęśliwym wybuchu, to nareszcie oburzającym się na podłość ludzką w obec starego mecenasa i hr. Feliksa. Wszystko co mówi Kilian jest rozumne i piękne, lecz sam on to tylko idealny embryon charakteru, bardziéj idea niż człowiek działający... Czyny jego — to słowa. Ale i w tym zakresie autorka nie uniknęła sprzeczności. Raz Kilian mówi, że nie pożąda już zagrabionego majątku, że wszystko przebaczył krzywdzicielom swoim, że ma dla nich tylko litość i obojętność. Wkrótce potém mówi do Cecylii: „Pamiętaj, że pieniądz to potęga straszna.... Nie mogę zostawiać jéj w ręku wydziercy, bo każdy ile mu sił starczy, walczyć powinien za sprawiedliwość, i nie zostawiać żadnéj broni w nieprzyjacielskim ręku." Nareszcie, kiedy znękany hrabia proponuje mu zwrot całego majątku i błaga jedynie o litość dla imienia, Kilian zupełnie zapomina o miłosierdziu, odpowiadając stryjowi „Chcę zedrzeć jawnie maskę obłudy, którą przywdziałeś; bo występuję w imieniu prawdy przeciwko zbrodni, w imieniu wszystkich pokrzywdzonych i uciskanych przeciw krzywdzicielom. Nie chodzi mi o same miliony, które przywłaszczyłeś sobie.... Ja chcę by siwa głowa twoja schyliła się pod brzemieniem pogardy, na którą zasłużyłeś, by czoło twoje bezwstydne poczuło piętno hańby!..." Tu już sympatya czytelnika opuszcza bohatera powieści.

Bohaterką jest Cecylia — postać zaledwie naszkicowana i dla tego może udatniejsza od innych...„Rzuciła się w świat z wiarą w pracę i w czyste serce swoje, — nie powiodło się jéj przymioty jéj nawet obracały się przeciwko niéj. Piękność jest straszną klęską w pewnych położeniach. Piękność jéj była z tych co czarują, co podbijają serca, zawracają głowy i kochać się każą koniecznie (zawsze przesada!)." Po wygnaniu z domu hrabiostwa i wyjściu za Kiliana, Cecylia traci całą wydatność w powieści i stanowi tylko łagodny wtór uczuciom i przekonaniom męża.

Najlepiéj może naszkicowane dwie podrzędne postacie i stary prawnik, niegdyś przyjaciel hr. Juliusza, a następnie wyznawca Bożka-Miliona, i Andzia Ciarkowska, dziewczę z zawróconą romansidłami główką, padająca ofiarą hr. Wilhelma. Ukazują się one zaledwie na chwilę w powieści, lecz pełne są życia i prawdy.

Zapomnieliśmy o *nieobecnéj*, jak zapomniała o niéj

sama autorka. Mówimy o młodszéj córce hrabiostwa, uczenicy panny Cecylii, któréj ani razu nie pokazała nam pani M., chociaż oprowadzała swych czytelników po wszystkich pokojach pałacu. Żaden powieściopisarz nie dopuściłby się takiego roztargnienia. Gdy Dickens albo Trollop opisują dom dżentelmena, to nie zapomną ani kucharki, ani lokaja, ani pokojówki. Cóż mówić o młodéj *miss!*... Pani M. uczuła pod koniec swój błąd i umorzyła biedaczkę, chociaż niewcześnie. W ogóle pani M. nie lubi realizmu w sztuce. Bohaterowie jéj nie jedzą nie piją, nie żartują, lecz tylko robią jakieś ceremonialne ewolucye, jak maryonetki żywe w salonie. Ztąd w powieściach jéj wieje zimno straszliwe, i czytelnik czuje się jak podróżny w ciemnym, dużym, nieopalonym pokoju, wzdychając do płonącego gdzieś tam w domu kominka.

Gdy wypadki i dźwignie takowych dostatecznie ocenione zostały w poprzedniém streszczeniu i w analizie charakterów, pozostaje nam tylko dotknąć pobieżnie dyalogów i stylu powieści.

Wiadomo że *mowę* każdego człowieka wytwarza jego wychowanie, charakter, otoczenie towarzyskie i życie. Przypuśćmy że wszystkie charaktery w powieści pani M. utworzone są prawidłowo. I w takim nawet razie hrabiowie Horeccy nie przestają być ludźmi wytwornych towarzystw, i jak mówi się zwykle, *dobrze wychowanymi*, Ciarkowski nieokrzesanym służalcem i t. d. Otóż wątpimy czy elegant wielkoświatowy mógłby napisać do przyzwoitéj kobiety (pomijając obawę zakompromitowania się osobistego) list następujący: „Cecylio, pierwsza groźba moja się spełniła; wypędzono cię haniebnie z naszego domu, i próżno kusiłabyś się o inne miejsce; każden zapyta się gdzie byłaś dotąd; każden będzie chciał zasięgnąć zdania matki mojéj—a wiesz sama najlepiéj co ona o tobie sądzi. Daremnie powiedziałabyś czystą prawdę; pomiędzy tobą a nią któż wahać się będzie. Szalona dziewczyno! Opieka moja jest nad tobą; nie znajdziesz nigdzie przytułku ni pracy; nie potrafisz nawet wydobyć się z tego miasta bez wiedzy i woli mojéj, dopóki nie przyjmiesz ofiar moich." Następnie tenże sam Wilhelm, wdarłszy się po grubijańsku do mieszkania Cecylii, mówi:.... „Ale mieszkasz pani piekielnie wysoko... zmęczyłem się na prawdę... Zwolna... zwolna!... Nie jesteś wcale gościnną: ale ja nie przyszedłem tak wysoko, by tak prędko stracić przyjemność twego towarzystwa i sposobność rozmowy.... Doprawdy prześliczną jesteś, gdy się gniewasz... Zbyt piękną jesteś Cecylio, by można o tobie zapomnieć..."

A oto znowu Ciarkowski przychodzi do hr. Feliksa targować się o hańbę swéj córki. Czy może on przemawiać w te słowa: „Zhańbić biednego, przyprowadzić go do upadku i rozpaczy, to dla panów tylko śmiech i zabawka. Ale czasy cierpliwości i pokory minęły niepowrotnie; dzisiaj poniżony poczuł swoją siłę, otrząsa z siebie wiekuiste jarzmo..." A hrabia odpowiada mu na to: „Widzę żeś z korzyścią przeczytał *Nędzników*, *Człowieka Śmiechu* (?), i zapamiętał wcale piękne tyrady." Od szczytności do śmieszności krok tylko.

Jeszcze jeden przykład. Kilian na przechadzce wieczornéj zapytuje żonę: „Czy zimno ci?"—„O nie!—odparła—tylko świat tak sposępniał nagle, jak gdyby kir olbrzymi roztoczył się nad nim."

Język pani M. zawsze poprawny, tylko interpunkcya nie męzka: styl piękny; byłby jeszcze piękniejszym, gdyby nie natężenie pewne i błyskotliwość, która nasunęła jednemu z recenzentów porównanie powieści pani M. do ciemnych grot, połyskujących stalaktytami, kryształami i lodem, jeżeli się nie mylimy.

Dodatnią stroną powieści *Bożek Milion* jest zacne założenie moralne i konieczność pracy i walki ze złém w imię sprawiedliwości. *(d. c. n.)*

KORESPONDENCYA.

Lwów, w Styczniu.

Wracam z pogrzebu. Przedwczoraj umarł Maksymilian Żelkowski, były profesor, a późniéj dyrektor zakładu agronomicznego w Dublanach, mąż zasłużony w zawodzie nauczycielskim na polu wiadomości agronomicznych, któremu, zwłaszcza szkoła Dublańska, zawdzięcza wiele, on bowiem pierwotnie ją urządził i przez lat wiele był można powiedzieć jéj duszą, głównym jéj kierownikiem. Kiedy przed laty dwudziestu kilku tutejsze towarzystwo gospodarskie postanowiło za pobudką ówczesnego prezesa swego księcia Leona Sapiehy, założyć w Dublanach, wiosce pod Lwowem umyślnie na ten cel przez towarzystwo zakupionéj, wzorowy zakład gospodarski połączony ze szkołą rolniczą, zaczęto się oglądać za kimś, coby posiadając odpowiednią naukę i doświadczenie, zajął się uorganizowaniem i wprowadzeniem w życie zakładu. Żelkowski bawiący od wielu lat za granicą, był wówczas profesorem rolnictwa w szkole agronomicznéj w Grignon we Francyi. Na niego padł wybór naszego towarzystwa gospodarskiego. Wezwany, porzucił nie ociągając się swą korzystną posadę nauczycielską i połączone z nią widoki materyalnéj pomyślności i pospieszył, ażeby usługi swe poświęcić krajowi. Wielkiéj potrzeba było znajomości rzeczy i bystrości umysłu, aby podołać zadaniu i zorganizować szkołę z takiem uwzględnieniem stosunków i potrzeb krajowych, aby jéj w samym już zarodzie zapewnić trwałość i uczynić użyteczną, ażeby szkoła odpowiedziała położonym w niéj nadziejom i do podniesienia rolnictwa rozumowanego w kraju skutecznie się przyczyniła. Dokonał tego ś. p. Żelkowski, wywiązując się o ile okoliczności dozwoliły jak najlepiéj ze swego zadania. Brak zasobów pieniężnych, niedostatek sił nauczycielskich, na razie były trudnemi do przewalczenia przeszkodami. Było to tem większą podnietą do działania dla Żelkowskiego, obdarzonego z natury duchem nadzwyczaj czynnym i sprężystym. Doprowadziwszy rzecz do skutku, po wprowadzeniu w życie zakładu i otworzeniu szkoły, zajął skromną posadę profesorską i wykładał teoryę rolnictwa, nie chcąc w żaden sposób przyjąć posady dyrektora zakładu, do któréj przyjęcia wielokrotnie usiłowano go nakłonić. Stale opierał się temu ś. p. Żelkowski i znaglony naleganiem towarzystwa gospodarskiego, przyjął chwilowo na czas krótki, nim się kto inny odpowiedni do zajęcia tejże posady nadarzył. Jako profesor wszakże, był Żelkowski jak powiedziałem duszą i właściwym kierownikiem szkoły. Wykładów jego słuchano z zapałem, a uczniowie garnęli się około ukochanego profesora, którego każde słowo przynosiło im naukę i wszczepiało zamiłowanie do pracy w zawodzie, którego znaczenie i wartość należycie pojmować ich nauczał. Dwadzieścia kilka lat pracował w szkole Dublańskiéj, póki zdrowia i sił starczyło. Wreszcie podupadłszy na siłach, licząc lat przeszło siedmdziesiąt, znękany chorobą niedozwalającą mu dłużéj pracować, usunął się na mieszkanie do Lwowa, otrzymawszy od towarzystwa gospodarskiego emeryturę, która mu spokojne utrzymanie do śmierci zapewniła. Nie będę wyliczał jego prac piśmiennych, wielu rozpraw zamieszczanych w rozmaitych pismach rolniczych. Odznaczały się one zawsze bystrością poglądu i gruntownością, czerpaną z rozległéj w zawodzie swoim nauki i długoletniego doświadczenia. Główną atoli zasługą ś. p. Żelkowskiego, były jego prace w zawodzie nauczycielskim dokonywane, a mianowicie to co dla Dublan uczynił. Jakoż towarzystwo gospodarskie uczciło pamięć zmarłego, oddając mu hołd należny na pogrzebie. Za trumną postępował prezes towarzystwa gospodarskiego i były prezes i założyciel towarzystwa, dziś marszałek krajowy, książe Leon Sapieha, profesorowie szkoły Dublańskiéj i liczny orszak przyjaciół, znajomych i spółtowarzyszy zmarłego. Trumnę nieśli uczniowie zakładu Dublańskiego, a nad grobem przemówił serdecznie O. Florentyn, dominikanin, najulubieńszy tutejszy kaznodzieja.

Poświęciwszy słowo wspomnienia zasłużonemu nauczycielowi, którego stratę na pierwszéj karcie nowego roku zapisać mi wypadło, chciałbym zwrócić uwagę czytelników w inną jaką pocieszną stronę i rozpatrzeć co też ów rok nowy przyniósł lub przynieść zapowiada dobrego, w zamian téj i wielu innych strat i szkód rozmaitego rodzaju, poniesionych tak w tym już jak w ubiegłym roku? Otóż przedewszystkiem rok nowy przyniósł nam całą szkutę programów i zapowiedzi pism czasowych nowozałożonych i zakładać się mających. Gorączka redaktorska wzmaga się. Jest to *febris recurrens*, któréj paroksyzmy najstraszliwiéj powtarzają się zawsze około *nowego roku*, czego smutne skutki najczęściéj już w drugim a najdaléj w trzecim kwartale skonem pacyentów się objawiają. W ciągu ubiegłego roku skonało, czyli mówiąc po prostu przestało wychodzić z braku czytelników i co zatem idzie, funduszów, sześć pism czasowych. Pomimo tego na rok bieżący, wychodzi tutaj, zliczywszy razem nowozapowiedziane z dawniejszemi, nie mniéj nie więcéj jak trzydzieści pism czasowych rozmaitéj treści. I jakże tu nie obawiać się o los tych pionierów cywilizacyi, zważywszy, iż wszystkie niemal pisma te spożyć i utrzymać musi sama maleńka Galicya, w któréj, jak świadczy statystyka księgarska, stwierdzona doświadczeniem lat wielu, rozchodzi się najlepszéj książki około pięciuset egzemplarzy; liczba czytelników pisma literackiego dochodzi w najpomyślniejszym razie i w najlepszych czasach do tysiąca; a gazeta polityczna w zenicie swéj wziętości miewa około trzech tysięcy abonentów. Otoż to jest kółko konsumentów czytelniczych w Galicyi. Potrzeba wielkiéj odwagi cywilnéj, ażeby tak szczupłemu gronu biesiadników podać naraz aż trzydzieści dań rozmaitego rodzaju łakoci umysłowych i liczyć nie tylko na chęć spożycia, ale na możność opłacenia tak sutéj biesiady. Czytelników znalazłoby się więcéj, ale ilość przedpłacicieli kręci się od lat dwudziestu w zaczarowanem kole wyż wymienionéj liczby. Wszelako zapowiedziane na ten rok nowe pisma mają tę właściwość, iż po większéj części są to pisma poświęcone wyłącznie pewnéj sferze czytelników, pewnéj dziedzinie nauk lub wiadomości. Pisma takie szczegółowe mają więcéj nadziei powodzenia od innych. *Szkoła*, *Prawnik*, nie stoją wprawdzie świetnie, ale się utrzymują bo mają ściśle wytknięte pole, na którem pożytecznie pracują i pewną sferę czytelników, zajmujących się z powołania obrabianemi tam przedmiotami, zaczem interesujących się także i powodzeniem pisma. Z nowozapowiedzianych, takiem pismem, poświęconem wyłącznie historyi i statystyce Galicyi, tudzież sprawom ekonomicznym w odniesieniu do stosunków Galicyjskich, będzie

Dodatek miesięczny do gazety Lwowskiéj, wychodzący w czteroarkuszowych zeszytach miesięcznych w miejsce wydawanego dawniéj *Dodatku Tygodniowego* tejże gazety. Pismo to podobnie jak ów dawniejszy *Dodatek tygodniowy*, będzie jak widać z pierwszego zeszytu, zbiorem ważnych rozpraw i materyałów statystyczno-historycznych z urzędowych źródeł czerpanych. Dr. Dobieszewski wydał pierwszy zeszyt *Służby zdrowia*, bardzo dobrze wróżący o wartości pisma, mającego się zajmować głównie ulepszeniem stosunków sanitarnych, zakładów leczniczych i szpitali galicyjskich. Drukarzom przyniosł rok nowy *Czcionkę*. W tych dniach ma się pojawić *Artysta*, pisemko na kształt *Kuryera*, poświęcone wyłącznie teatrowi i ruchowi artystycznemu miejscowemu i zamiejscowemu, wychodzące w dzień przedstawień teatralnych. Podobne pismo, *Kuryera teatralnego*, wydawał dyrektor teatru Miłaszewski, kosztem swym przez lat parę, ale zawiesił wydawnictwo, gdy rzeczy wzięły taki obrót, iż dyrekcya teatru w inne przechodzi ręce. Teraźniejszy *Artysta* ma więc wychodzić innym już nakładem w powiększonym formacie i z rozszerzoną treścią.

Mimowolnie zaszliśmy do teatru, a więc potrąciliśmy o sprawę, która w téj chwili zajmuje gorąco całą publiczność tutejszą, któréj zatem i nam mimochodem przepuścić nie wolno. Dyrektorem tutejszego teatru polskiego i niemieckiego był dotychczas p. Miłaszewski, który wydzierżawiał od fundacyi Skarbkowskiéj wraz z salą teatralną przywilej dawania widowisk scenicznych, na mocy którego to przywileju, nie wolno było nikomu innemu otworzyć drugiego teatru we Lwowie. Że jednak przywilej ten nakładał zarazem na fundacyę Skarbkowską obowiązek utrzymania sceny niemieckiéj, która nietylko że się nie opłacała, ale nadto wymagała rok rocznie ogromnéj subwencyi kilkunastu a z czasem nawet kilkudziesięciu tysięcy guldenów z dochodów fundacyi przeznaczonéj na utrzymanie dobroczynnego zakładu ubogich i sierot w Drohowyżu, który to zakład głównie z przyczyny tak znacznego ubytku dochodów dotąd wejść w życie nie mógł, przeto Wydział Krajowy zgodnie z Radą Miejską tutejszą, jako właściwi i wolą fundatora ś. p. Stanisława hr. Skarbka ustanowieni opiekunowie fundacyi, wystarali się po długoletnich zabiegach u rządu o zniesienie przywileju i uwolnienie fundacyi od dobrodziejstwa, które w skutkach swych rzeczywistych stało się dla niéj ciężkiem brzemieniem. Z ustaniem przywileju zmienił się tedy stosunek dyrektora teatru, wydzierżawiającego teatr pod warunkami zastrzeżonemi przywilejem, a p. Miłaszewski, którego kontrakt jeszcze na lat cztery opiewał, słusznie rościł sobie wynagrodzenie od fundacyi, za ubywające mu z ustaniem przywileju, a zapewnione kontraktem korzyści. Administracya fundacyi Skarbkowskiéj winna była wynagrodzić p. Miłaszewskiego, ale że teatr pod jego dyrekcyą nie zyskał powszechnego zadowolenia, że powszechnie potępiono upadek sceny, a komisya znawców z polecenia sejmowego przez Wydział krajowy wyznaczona, potwierdziła to potępienie, skutkiem czego cofnięto subwencyę z funduszu krajowego na utrzymanie sceny płaconą, przeto rada administracyjna fundacyi Skarbkowskiéj, zamiast zapłacić p. Miłaszewskiemu jakieś wynagrodzenie za ubytek korzyści kontraktem zastrzeżonych, wolała aby zadosyć uczynić publicznemu głosowi, wejść z nim w umowę o zupełne rozwiązanie kontraktu dzierżawy i ustąpienie z dyrekcyi natychmiast od Wielkiéj-Nocy. Umowa przyszła do skutku, wypłacono p. Miłaszewskiemu odstępnego 10,000 guldenów i rozpisano konkurs o wydzierżawienie na nowo na lat sześć sali teatralnéj i redutowéj, z obowiązkiem włożonym na dzierżawcę dania w ciągu roku stu sześćdziesięciu przedstawień polskich. Reszta dni pozostaje mu do dowolnego rozporządzenia. Termin konkursu ubiega z dniem 10 Lutego. Czas krótki — rozpoczął się tedy zacięty wyścig, istny *Steeple-chase*, z rozmaitemi przeszkodami o tę nagrodę, o którą zaiste warto się ubiegać, bo publiczność lwowska jest namiętnie zamiłowana w teatrze, kocha się w nim i chodziła tłumnie do teatru gdy teatr był zły, cóż dopiero, gdy będzie dobry. Teatr więc lwowski jest to złote jabłko, dojna krówka, o którą warto się ubiegać. Wszelako chodzić powinno przedewszystkiem o to, aby podnieść scenę z upadku, aby skorzystać z nadarzającéj się chwili i zapewnić scenie dobry kierunek i pomyślniejszą przyszłość. Tą myślą powodowane Towarzystwo przyjaciół sceny zajęło się zebraniem odpowiedniego kapitału na akcye wynoszącego 25,000 guldenów i zawiązaniem spółki akcyjnéj, celem uzyskania dyrekcyi teatru. Akcyonaryusze nie będą mieli żadnéj dywidendy, żadnego zysku od nowych akcyi, oprócz tańszego wstępu do teatru. Myśl ta znalazła tutaj dosyć przychylne przyjęcie i być może, iż się powiedzie zebrać dostateczną liczbę akcyonaryuszów. Na kierownika artystycznego sceny życzonoby sobie tutaj powszechnie pozyskać Jana Królikowskiego z Warszawy. Tymczasem Miłaszewski stara się wyzyskać jak najkorzystniéj pozostający mu czas zawiadowania sceną do Wielkiéj-Nocy i odświeża repertoar występami gościnnemi Lecha Nowakowskiego, który po kilku leciech niebytności na scenie tutejszéj, powrócił do Lwowa i tutaj pozostać zamyśla. W przyszłym tygodniu wystąpi w *Motylomanii*, następnie w *Junakach* i innych ulubionych komedyach i operetkach, które ożywiał swą grą pełną humoru i dosadnéj komiki, a które z ubytkiem jego ubyły także z repertuaru tutejszéj sceny. Nowakowski jest niezrównany w pewnym rodzaju ról charakterystyczno-komicznych i z powrotem jego przybywa scenie pożądany ze wszech miar i pożyteczny artysta. Razem z nim wróci na scenę naszą i żona jego równie utalentowana i ulubiona artystka. Ubytek obojga pp. Nowakowskich zrobił w personelu teatru tutejszego lukę, któréj nie było kim zastąpić; jakoż wiadomość o ich powrocie do Lwowa mile została przyjętą.

GWIAZDKA.

Nowością a oryginalnością pomysłu zabawia i zadziwia w Warszawie od lat kilku dzieci, młode wiekiem lub stopniem wykształcenia, gwiazda, zastępująca miejsce jasełek szopką pospolicie zwanych. Pomysł na têm zależy, iż cała ta gwiazda światłem wewnątrz umieszczonem oświetlona w środkowéj swéj nieruchoméj części przedstawia transparentowo właściwą szopkę, w któréj dziecię Jezus odbiera od pastuszków pierwsze powitanie, zaś ramiona, a raczéj jakoby promienie gwiazdy poruszane korbą obracają się naokoło środka z szybkością sprawiającą wrażenie migotania światła. Biedny muzyk przygrywający nabożni pieśni swemu ubogiemu przedstawieniu jest sam twórcą pomysłu, wykonawcą, reżyserem i orkiestrą podróżującego po bruku miejskim nabożnego a pamiątkowego teatru.

MARONICI.

Francuzcy malarze i rysownicy w obecnym wieku najwięcéj przyczynili się do zapoznania Europy z malowniczą i obyczajową stroną wschodu. Do tych, którzy stronę poetyczną ludności tamtejszych najwierniéj i najserdeczniéj odtwarzają, należy znakomity rysownik Bida, w doskonałości rysunku i malowniczego układu stojący obok Gerome'a i Landell'a; jego to jest ów sławny rysunek przedstawiający Izraelitów modlących się u tradycyjnych szczątków muru świątyni Salomona w Jerozolimie, zakupiony w roku 1857 z wystawy Paryzkiéj przez ówczesne ministeryum spraw wewnętrznych we Francyi, do zbiorów Ministeryum. Obecny rysunek przedstawiający dwoje Maronitów u studni, daje nam dokładne wyobrażenie o talencie tego artysty umiejącego w tak małym na pozór przedmiocie dać wyobrażenie o patryarchalnych przymiotach serdeczności i gościnnéj uczynności tego małego narodu Syryjskiego, który niegdyś stanowił jedną z pierwszych większych gmin chrześciańskich a do dziśdnia na szczytach i u stóp Libanu stary obyczaj swój przechowuje.

BIBLIOGRAFIA.

Podręczna Encyklopedja Handlowa—Warszawa 1872 nakład Redakcyi Gazety Handlowéj — Zeszyt 1-szy. — Pod tym tytułem w roku zeszłym zapowiedziana publikacya, obecnie w pewnéj, chociaż nie wielkiéj części wyszła na widok publiczny, a jeżeli z danych wiadomych, wolno jest wnioskować o niewiadomych, to o przedsiewzięciu têm, pod względem wartości jego i pożyteczności, chlubne możemy czynić wywody. Przedewszystkiém układ już sam bardzo znajdujemy właściwym—autor, a raczéj autorowie pierwotworu, wydawnictwo bowiem obecne jest pod wieloma względami ścisłém naśladowaniem niemieckiéj encyklopedyi Rotschilda, która w setkach tysięcy egzemplarzy rozeszła się i dotąd rozchodzi po świecie — porzuciwszy porządek alfabetyczny, trzymają się porządku systematycznego i na wstępie samym podają treściwą historyą handlu. Nasza encyklopedya zwiększona jeszcze, i to ważną stanowi wydawnictwa zasługę, historycznym poglądem na przemysł i handel Polski i Rossyi, do najświeższych posuniętym czasów i wspartym obszernemi i skrzętnie zebranemi danemi statystycznemi. Dział II rozpoczyna podręczny zarys *ekonomiki* dla kupca. Dziś niewdajemy się w krytyczny téj i tamtéj części rozbiór, z pobieżnego jednak sądząc poglądu, z odczytania szczegółów odnoszących się do naszych historyczno - handlowych stosunków, widocznem jest że nie cel spekulacyjny, lecz istotne, szczere przeświadczenie i o potrzebie podobnego dla nas dzieła i o ważności trudnego zadania w sumienności koniecznéj dla wywiązania się z niego, kierowały pracą nieznanych nam z nazwiska lecz dobrze zalecających się współpracowników. Że dzieło to w ręku każdego kupca, każdego handlującego, lub zostającego w zetknięciu ze światém handlowym, (a któż z nim dziś się nie styka) znajdować się powinno, o têm zbytecznie na-

wet nadmieniać, tém więcéj że i program obszerny i cena umiarkowana (Rs. 2 za pięć, a może i więcéj poszytów) przedstawiają warunki wielkiéj użyteczności. Po ukończeniu ekonomiki, jako stanowiącéj całość, obszerniejszą zdamy z wydawnictwa tego sprawę, ograniczając się na teraz bezstronném zaleceniem go pragnącéj wiedzy publiczności.

ZARYSY OKOLICY
nad Niewiażą.

Jak z fizyonomii człowieka można poznać mniéj więcéj jego charakter, skłonności, nałogi, usposobienia, a nawet poniekąd przeszłość przebytą, — tak z fizyonomii kraju, bylebyśmy zechcieli bacznem przyjrzeć się okiem, można wyczytać co są zacz jego mieszkańcy? jak wysoko stoją w kulturze? jakie serce bije w ich łonie, jaka myśl w głowie fermentuje? Wychodząc z tego punktu widzenia, wrażenie jakie sprawia widok znacznéj części gubernii Kowieńskiéj, nader korzystnie za jéj mieszkańcami przemawia. Krajobraz porżnięty strumieniami i lekkiemi wzgórzami, co nakształt fal zielonych, na każdym kroku urozmaicają widok, piękne liściaste lasy, w których białoszata brzoza przemaga, bujnym plonem okryte pola, a łąki jak jeden wielki kwiat barwne i wonne, — owóż co najprzód uderza oczy spostrzegacza. Któż z tego wszystkiego nie wyprowadzi wniosku, że lud tę krainę zamieszkujący musi być poetycznym, a zarazem zamożnym? W mniemaniu tém utwierdzą nas schludnie zabudowane wioski, gdzie przy każdéj chacie widzimy ogródek owocowy i niewielką pasiekę, w każdéj stodole pełno zboża i lnu, co stajnia to kilka małych ale okrągłych jak ogórki koni żmudzinków, co obora to pełno krówek i owiec, co spichlerz to w brod słoniny, masła, serów, płótna, a nieraz nawet starych talarów bitych i karbowańców. Owa mierna zamożność, tylekroć wychwalana przez poetów, widoczna tu na każdym kroku. Wioski nie są tu tak czarne i nudne jak np. w gubernii Mińskiéj, chaty skromne, ale nie walące się, lud wreszcie prosty, ale rozsądny i bogobojny.

Trudno tu znaleźć włościanina, któryby czytać nie umiał, a lubo cała ich literatura ogranicza się do kilku lub kilkunastu książek wydanych w języku żmudzkim, i to treści przeważnie religijnéj, przecież i ta jakkolwiek bądź ograniczona liczba, jest już dostateczną do wyróżnienia włościan tutejszych od ich całkiem nieukształconych sąsiadów. W całéj postawie tutejszego wieśniaka przebija się uczucie godności własnéj. Nie masz w nim owéj rażącéj uniżoności, owéj udanéj pokory, po za którą przebija się ponurość i chytrość; wzrok jego nie lęka się spotkania z obcym wzrokiem, ani też w ziemię jest wlepiony. W ogóle we wszystkich ruchach, w całem postępowaniu przebija się naturalność i swoboda, którą daje dobrobyt i niezależność.

Nie na pochwałę, ale raczéj na naganę zasługiwałby lud tutejszy, gdyby grosz krwawo zapracowany jedynie na praktyki religijne obracał, gdyby jedynym celem jego życia było wznoszenie krzyżów i przyozdabianie przybytków Pańskich. Bynajmniéj, pobożność jest drugą jego nieledwie naturą, ale widoczna w nim także potrzeba kształcenia się; każdy prawie włościanin czytać umie, zamożniejsi chętnie kupują książki w języku żmujdzkim drukowane, a wielu z nich, nie poprzestając na elementarnych szkółkach, do wyższych nawet zakładów naukowych dziatwę posyła.



Gwiazdka. (59).

Kościoły w okolicach leżących nad Niewiażą, w niedziele i święta literalnie są napchane, a niechno się zdarzy odpust, to już i wcisnąć się do świątyni trudno. A jaka przytém rozmaitość ubiorów! Głowy kobiet, obwinięte jaskrawemi chustkami, nasadzone bukietami kwiatów, a nadewszystko ulubionych malw, czerwienią się w świątyni jak wianki maku polnego. Reszta ich ubioru także jest kolorowa, a nierzadko nawet wcale kosztowna, bo z atłasów, aksamitów i cienkiego sukna uszyta. Mężczyźni noszą granatowe sukmany z naszywkami, co ich wyróżnia od mieszkających nieopodal Litwinów, gdzie kolor biały w codziennych i świątecznych ubiorach przemaga.

Za pługiem lub broną naturalnie, że kmieć żmujdzki ubiera się w co może; w każdym jednak razie i w codziennéj jego sukmanie znać większą zamożność, aniżeli w innych okolicach kraju.

Gościnności włościan tutejszych stoi poniekąd na zawadzie zbytnia ich nieufność ku osobom innego niż oni stanu. Gdy jednak raz poznają i ocenią człowieka, wówczas znika wszelka nieufność, a miejsce jéj zajmuje owa patryarchalna gościnność, z którą tak rzadko dziś spotkać się już zdarza. Dla gościa staje otworem cały dom i wszystko co w nim najlepszego. Wyborna jajecznica ze słoniną, mleko zsiadłe lub prosto od krowy po połowie ze śmiétanką, ser smaczniejszy od hollenderskich i szwajcarskich, a za napój smaczne piwo domowe, krupnik (wódka z miodem i korzeniami), lub wyborny trunek z soku brzozowego, któremu ani słodyczy ani mocy nie brak, pozwolą ci zapomnieć o najwykwintniejszych miejskich śniadaniach i podwieczorkach. Latem podadzą ci na deser złocisty miód w plastrach, owoce świeżo co w ogródku zerwane, albo bujne maliny których dziatwa w sąsiednim nazbiérała lesie. Z obiadem możeby poszło nieco trudniéj, bo wypieszczony na miejskich pokarmach żołądek, nie łacno zawarłby przymierze z wiejską kapustą, żurem, chłodnikiem, szałtanosami (rodzaj pierożków z serem), boćwiną, kaszą z mąki grochowéj, pęcakiem i t. p. potrawami. Dzisiaj wszakże nie jedna włościanka zdobyłaby się i na delikatniejsze pokarmy, a nawet rzecz trudna do uwierzenia, w niejednéj chacie wiejskiéj, obok pięknie wyszorowanych statków domowych, ujrzysz samowar z imbrykiem i szklankami. Zbytkowy ten sprzęt występuje jednak tylko w doroczne uroczystości, jak na Wielkanoc, Zielone Świątki, Boże Narodzenie, wesele, chrzciny, oraz dwa razy do roku w Lipcu i Wrześniu podczas podbierania miodu.

Miód bowiém dotąd jeszcze niezmiernie ważną gra rolę w północnéj części Kowieńskiéj gubernii; gospodarz aby zasłużyć na miano zamożnego, musi miéć przynajmniéj kilka ulów. Podbieranie miodu jest prawdziwą uroczystością, a stosunki *bitników* (współwłaścicieli ulów) wielce przypominają śluby przyjaźni, praktykowane za dawnych czasów a i teraz gdzie niegdzie w Słowianszczyźnie. Bitniki są w jednakim stopniu powinowactwa o Kmotrowie, a nawet może i w bliższém jeszcze. *(d. c. n.)*

Panu A. S. w Libawie. Nr. 4 Wieńca wysłany, a Nra zbywające raczy pan zachować.

Wydawca, Hipolit Orgelbrand. Дозволено Цензурою, Варшава 20 Января (1 Февраля) 1872 г. **Redaktor,** Mieczysław Orgelbrand **Mag. Pr. i Adm.**

w Drukarni S. Orgelbranda Synów, w Warszawie ulica Bednarska Nr. 20.